Wychodzą we Lwowie we *Wtorek, Czwartek*, i *Sobotę*. Prenumerata rocznie **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr.
Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

15. Kwietnia 1856. **№ 45.** **Rok trzeci.**

Pielgrzymka Czajlda Harolda,

poema lorda Bajrona, spolszczone

przez Wiktora z Baworowa [1]).

«L'univers est une espéce de livre, dont on n'a lu que la premiére page, quand on n'a vu que son pays. J'en ai feuilleté, un assez grand nombre, que j'ai trouvées également mauvaises. Cet examen ne m'a point été infructueux. Je haïssais ma patrie. Toutes les impertinences des peuples divers, parmi lesquels j'ai vecu, m'ont réconcilié avec elle. Quand je n'aurais tiré d'autre bénéfice de mes voyages, que celui-la, je n'en regretterais ni les frais, ni les fatigues».

Le Cosmopolite.

Do Janty [2]).

Ani pod wschodniem niebem gdzie pielgrzymowałem,
W krajach gdzie wdzięk anielski piękności udziałem,
Ani w tych snach, po których budzim się boleśnie,
Żeśmy śliczne widzenie mieli tylko we śnie,
Nic jak ty nie zabłysło przed okiem zdumiałem;
Ani dłoń moja nadziei nie rości,
Że odtworzy mieniący blask twojej piękności;
Nie zgrzeszę przedsięwzięciem, niestety zbyt śmiałem:
Kto cię nie zna, ten mego nie pojąłby pienia,
Kto cię zna, ten zuchwałe wyśmiałby zachcenia.

Oby, jaką dziś jesteś, takąś zawsze była,
Od ziemian czczona i niebianom miła;
Bądź władczynią serc czułych, zniewalaj bez sideł:
Bądź obrazem miłości, bez miłości skrzydeł,
A pochlebne nadzieje tej dobrej istoty,
Co otacza twą młodość tkliwemi pieszczoty,
Te nadzieje w jej oczach wezmą błogi skutek:
Okażesz jej z wdzięcznością, kiedyś w późnej porze,
W twych rozwiniętych wdziękach tę pogodną zorzę,
Przed którą utrapienia nikną, wionie smutek.

Peri zachodu! składam niebu dzięki
Że we dwójnasob przewyższam cię laty:
Z ócz twoich wrzącej nie zaczerpię męki,
Nie zasmucisz mych oczu gdy zwiędną twe wdzięki,
Z tobą płakać nie będę twych powabów straty.
Gdy twych czcicieli płochy rój skrzydlaty,
Porwany wirem miłosnego szału,
Uganiać będzie za marą zwodniczą,
Ja już wydychać nie będę do uczuć podziału,
Co nawet szczęście zaprawia goryczą.

Rzuć piękna, na te pisma tem okiem gazeli,
Które płocho się kryje, to znów blaskiem strzeli,
To zniewala słodyczą, to znów ćmi jak słońce;
Uśmiechnij się mym pieniom, spełń prośby gorące,
Którebym pewnie zanosił daremnie,
Gdybyś inne uczucia mogła dostrzedz we mnie
Nad uczucia przyjaźni, które tobie święcę,
Nie pytaj rajskie dziecię, dlaczego w twe ręce
Składam te z duszy mojej wyjęte wyrazy,
Pozwól tylko do wieńca wpleść lilją bez skazy.

Zarówno jak dziś świecisz na mych marzeń niebie,
Tak gdy zasnę snem wiecznym, jęty czasu matnią,
Czyje oko te słowa przebieży, ten ciebie
Pierwszą przywita, pożegna ostatnią.
Jeśli śmierć w niepamięci wiecznej nie zagrzebie
Tego, co ciebie czcił czułością bratnią,
A ty do wieszczej lutni ściągniesz dłoń anioła,
Uszczęśliwisz o luba! stroskane me cienie:
Prześcigniesz me nadzieje, spełnisz to życzenie,
Nad które więcej skromne żadne być nie zdoła.

Pieśń pierwsza.

O ty, niegdyś w Heladzie jak bogini czczona
Muzo twórcza, igraszko wieszczego natchnienia,
Poniżona, niestety, przez młodsze plemiona,
Nie śmiem cię o wtór prosić do mojego pienia,
Choć przy źródle kastalskiem westchnąłem głęboko,

---

[1]) Poema: „*Childe Harold's Pilgrimage*", noszące niezaprzeczoną cechę podobieństwa wątku do biegu życia autora, wychodziło na świat częściowo w różnych okresach jego zawodu piśmiennego.

Stosując się do porządku, wskazanego nam przez pierwotwór, ogłaszamy w przekładzie polskim, jako całość oddzielną; dwie pierwsze pieśni tego najznakomitszego utworu angielskiego wieszcza, przywiezione z podróży, odbytej w dwudziestym roku życia w Hiszpanii i Grecyi, i podane do druku po raz pierwszy w roku 1812. Zachowujemy sobie na później wydanie całkowitego tłumaczenia, z powodu nieposlednich trudności, z jakiemi w trzeciej i czwartej części walczyć przychodzi, i które niejako wzrosły w miarę, jak siła twórcza naszego autora, z postępem lat, brała wzrost i dojrzałość.

Lwów d. 3 Maja 1855. *Tłumacz.*

[2]) Osoba, której Bajron swoje dzieło przypisał, była jedynastoletnia lady Karolina Harley. (*Przypis tłumacza.*)

I przy gruzach Delfickich [1]) płakało me oko,
Gdzie w smętną ciszę wsłuchiwa się ucho,
Gdzie oprócz szumu wody i pusto i głucho.
Nie przychodzę was błagać, Parnaskie dziewoje,
Byście wdziękiem okryły tę piosenkę moję.

Przed laty w swym ojczystym mieszkał Albionie
Młodzieniec, wzór niecnoty, — rozpustnik bez maski,
Który dzień cały pędził na rozkoszy łonie,
A noc zagłuszał pijanemi wrzaski,
Jako zwolennik błędu, i czciciel pustoty,
Raz na zawsze był zboczył z wąskiej drogi cnoty.
Rozkiełznawszy bezbożnie żądze swe cielesne
Poślubił duszę piekłu w nieszczęsnej godzinie;
Pomiatał wszystkiem, a cenił jedynie
Lekkomyślne junaki i nimfy obleśne.

Zwał się Czajld Harold [2]). Jego pochodzenie
Zataję; szlachetnego rodu nie wymienię
Co niegdyś miał dni piękne (dni minionej chwały).
Ale mężów dzieł wielkich więzi już podziemie,
A u odrodnych synów dość jednej zakały,
Aby splamić na długo całe zacne plemię.
W najpochlebniejszej prozie, w najkwiecistszym rymie
Niepodniesie się więcej raz upadłe imię:
Blaski stu pogrzebowych najętych pochodni
Nie zaćmią światła prawdy, nie uświęcą zbrodni!

Przygasiwszy gnusnością boską iskrę ducha,
Wygrzewał się na słońcu jak próżniaczka mucha;
Pono nieprzewidywał iż jedna zła chwila,
Lada zimny powiewek, zgubą dla motyla:
Już w samej wiośnie tak błogiego bytu
Nasz młokos zachorował na ckliwość przesytu.
W niemocy duszy stanął na żądz kresie,
Brzydzi się własnym krajem, tęskna myśl go niesie
W kraj inny, już przed myślą ojczyzna mu znika,
Nieznośna mu jak smutna cela pokutnika.

Tam go była zagnała w grzech szatańska siła,
Swoich błędów przed nikim nigdy nie zaskarżył,
Zalecał się do wielu, a o jednej marzył,
Lecz ta jedna nie jemu przeznaczoną była;
Błogo jej było, błogo że nie dała ręki
Temu, co byłby skalał jej przeczyste wdzięki,

[1]) Wioska Kastri stoi po części na tem samem miejscu gdzie niegdyś Delfy. Wzdłuż górskiej ścieżki, począwszy od Chrysso, dają się widzieć szczątki grobowców, wykutych w opoce i z opoki. Jeden z nich — podług powieści mego przewodnika, kryje zwłoki jakiegoś króla, który tam na łowach kark skręcił. Trochę poniżej Kastri jest jaskinia niezmiernej głębokości, która ma być jaskinią Pityi; wyższą część tejże wybrukowano i obrócono na krowiarnią. Na przeciwnej stronie wznosi się monaster grecki, trochę wyżej nad nim jest rozpadlina w skale, i wchód do szeregu jaskiń, bardzo nieprzystępnych, i prowadzących, jak się zdaje, w samo wnętrze góry, może do Korycejskiej groty, o której Pauzaniasz wspomina. Z owej to strony spada źródło i »rosa Kastalska.“

[2]) Childe, z Saksońskiego *cilt*, wyraz dawny, znaczący dziś *dziecko*, i mający niejaką analogią z hiszpańskim wyrazem, infant; lecz w średnich wiekach był to tytuł bliskoznaczny słowom: urodzony, rycerz, książe; jak n. p. w nazwach Childe Waters, Childe Arthur.

(*Przypis tłumacza.*)

Byłby ją zdradził, za innemi gonił,
I pod pozorem czułego zamęścia,
Byłby jej wszystkie dostatki roztrwonił,
Nie zdolny uczuć domowego szczęścia.

Gorszem czemsiś niż nędza nawidzony teraz,
Brzydzi się towarzystwem rozwiozłych młokosów;
Niekiedy się rozczula, byłby płakał nieraz,
Lecz zbyt dumny nie słyszy przyrodzonych głosów.
Przechadza się samotny, smutny, zamyślony,
Radby uciekł w dalekie, skwarne świata strony;
Nieobawia się ślepych przeznaczenia ciosów,
Znużony zbytkiem szczęścia, zapragnął złych losów,
By przytępić ząb czerwia co mu serce wierci,
Dla chwili roztargnienia, poszedłby w kraj śmierci.

Porzuca ojców gniazdo, duży gmach zamkowy,
Który był sprośnych rozrywek siedliskiem;
I zagrażając na pozór zwaliskiem,
Był jeszcze pięknej i trwałej budowy.
Był to stary monaster, teraz znieważony;
Gdzie niegdyś brzmiały hymnów religijne tony,
Tam płci obojga hulał tłum szalony.
Widząc w pobożnym gmachu te rozpusty jawne,
Mogło się zdawać że wróciły dawne
Szczęśliwe m.... w czasy i bezwstydy sławne.

Lecz nieraz pośród uciech, przy godowej nucie,
Jakaś nieznana boleść mgli Haralda oczy;
Śmiertelna to nienawiść? czy ocknione czucie
Zawiedzionej nadziei, twarz posępną mroczy?
Wytłumaczyć to sobie ludzie nie umieli;
Bo Czajld Harold nie był to człek prostego ducha,
Co spowiada swe żale, zbawiennych rad słucha;
Wnętrznych katuszy on z nikim nie dzieli,
Ani szuka pociechy na łonie przyjaźni,
Dla odkrycia przyczyny, która bole drażni.

On nie miał przyjaciela; choć z bliża i z dali
Na wspaniałe doń gody goście się zjeżdżali,
Ci wszyscy jeno byli zgrają wyjadaczy,
Którzy mu pochlebiają, gdy ich suto raczy;
Z resztą, nikt go nie kochał, nikt, nawet spólnice
Jego zabaw i zbytków. — Przedmioty kochania
Nie miały do Harolda cienia przywiązania;
Bo tylko przepych działa na zmysły kobiece,
Jak na ćmę nocną świeca zapalona,
A Kupidyn bezsilny gdzie władnie mamona.

Harold miał matkę, — ale przed odjazdem
Tej nie oglądał, której winien życie;
Miał siostrę: z rodzicielskiem rozstając się gniazdem
Opuścił bez pożegnań spólnej matki dziecię;
Od najlepszych znajomych wydalił się skrycie,
A przecież — serce jego nie było ze stali:
Wy, czuciem obdarzeni, którzyście zaznali
Silnych wzruszeń rozkoszy, wy to poświadczycie,
Że pożegnawcza rozstania się chwila
Czarę boleści aż do dna wychyla.

Swój kraj, dziedzinę i ojczyste strony,
Dziewice hoże, wysmukłej urody,
Których jedwabny włos, głosik pieszczony,
Wzrok miły, byłby rozgrzał stare lody
Świętego pustelnika, ojcowskie zagony,
Odurzające zbytki i miękkie wygody,
Które długo syciły młodzieńczych żądz głody,
To wszystko nasz bohater rzuca bez tęsknoty.
Obojętny, na okręt wsiadł z płochej ochoty:
Odwidzieć obce lądy, nieznane narody.

Już wiatr się zrywa, białe żagle wzdyma,
Wesoły zda się igrać, cieszyć, że pielgrzyma
Z ojczystych stron unosi. Ponadbrzeżne skały
W oczach Harolda nieznacznie malały,
Zanurzyły się wreszcie w zapienione wały.
Może Harold w tej chwili uczuł żal, że w drogę
Zapuszcza się daleką; przecież się nie żali,
Gdy drudzy czują żałość i przedwczesną trwogę,
On milczał z suchem okiem gdy inni płakali,
Powierzając swe żale wichrowi i fali.

C. d. n.

Obrazki wiejskie.

V.

Kulig.

Kulig to zabawa,
Bigos to potrawa.

Dokończenie.

Pan Owczarski służył u jakiegoś księcia na Wołyniu po prostu za owczarza; jak się wtedy nazywał, tego ciekawa kronika nie doszła. Książę miał kilkanaście tysięcy owiec, więc i owczarz był dobrze płatnym. Ale dla pana *in spe* Owczarskiego płaca ta nie wystarczała. Trafił szczęściem jak to mówią na lipę, z której się dały *drzeć łyka* a że książę miał komisarza co także *drzeć łyka* umiał, otoż jakoś z tej manipulacyi darcia wypadło, że co roku po kilka tysięcy owiec padało. Zarzucić nic nie można było, komisarz w rachunku podawał dochód ze skór owiec odeszłych. Ale pewnego razu ktoś rozgniewany na komisarza doniósł o tej spekulacyi xięciu i byłoby źle bardzo, gdyby nie poczciwy sekretarz księcia, co w czas uwiadomił komisarza. Oj miałże on w tenczas dosyć kłopotu, owczarz, on sam, żona, dzieci i mnóstwo innych rozbiegło się do miasteczek za skupywaniem skór owczych, i choć ich to nie mało kosztowało, jednak gdy xiążę na lustracją dóbr przyjechał, znalazły się w lamusie skóry, a co najzabawniejsza, że było ich więcej kilkadziesiąt. Książę zaczął się dziwić tej superacie, ale poczciwy sekretarz mu wytłumaczył, że czasem trafiają się owce co mają po dwie skóry na sobie, a tak przez pośpiech popełniona pomyłka nie zwróciła uwagi księcia. Bo jakże wymagać po księciu, żeby wiedział iż owiec o dwóch skórach na świecie nie ma, wszakże on wie z doświadczenia, że niejeden go ze skóry obrał, a przecież ma skórę na sobie!

W skutek takiego przypadku, co nie mało pieniędzy i potu wypędził komisarzowi, począł p. komisarz doznawać jakich dotąd nie miał, wyrzutów sumienia, i dla tego podziękował za służbę, wyniósł się na Litwę, gdzie zakupił duże dobra, a owczarz nie mając już także co robić, pozbierawszy to co miał pieniędzy i 500 owiec, które jakoś zmartwychwstały i były u sąsiada żyda dzierzawcy na paszy, wyniósł się do Galicyi.

Mówiono dawniej że w *Polsce jak kto chce.* Otoż u nas, żeby zostać szlachcicem nie wiele potrzeba; najprzód trzeba chcieć, a potem do swojego nazwiska dodać *ski* lub *cki*, i już się człek jakoś szlachcicem poczuje.

Słyszałem że jakiś nazywał się Dusibab, a gdy się dorobił majątku nazywał się Dusibabskim, i uważał się za szlachcica. Nie dziw zatem że nasz owczarz z Wołynia, nazwał się przybywszy do Galicyi Owczarskim, i jak mówiłem, wziąwszy dzierzawę i dobrze chodząc około intersów i owiec, mógł się zdobyć na tyle, że swego jedynaka oddał do szkół w Tarnopolu.

Ów uczeń tarnopolski był to dzisiejszy nasz kuligowy intruz. Czego się w szkołach nauczył, tego ani ja, ani nikt zapewne nie wiedział i nie wie; ale musiał się oddawać astronomii, bo w skutek ścisłego badania różnych planet niebieskich, nadwerężył zdrowie i musiał aż do Włoch jechać na odpoczynek. Podobny wojaż wbił go niesłychanie w dumę, jednem słowem zrobiła się z niego najnudniejsza *szkatuła*, a co gorsza że to była szkatuła *de re et nomine* pusta, bo lubo ojciec co przed parą laty poszedł się rachować ze skór i owiec gdzieś na tamten świat, zostawił nie złą fortunkę, synalek puszczał jak mógł i co miał, aż niewiele zostało. Zostały jednak maniery pańskie, i kiedy w lakierowanych ciżmach, w szkarpetkach srokatych, które dla większego zaimponowania nam parafianom pokazywał, kiedy w obcisłym fraku, z czupryną niby zafryzowaną, stanął między nami krakowiakami do mazura, i dla lepszego rezonu, głowę gdzieś tak przechylił, że mu czupryna oczy zasłoniła, a do tego jak zaczął mijać się z taktem, wtedy nie mogliśmy wytrzymać od śmiechu i zawoławszy: *Intruz, Intruz*, wprowadziliśmy go w zły humor, tak że już więcej do mazura nie stanął. Chciał on wprawdzie nam pokazać, co umie, i po skończonym mazurze zawołał na muzykę żeby polkę zagrała, ale nasz starosta zawołał:

— A na co nam tu polki, wszak mamy nasze Polki, te nam wystarczą, my kręcić nie umiemy, ot tak prosto Mosanie, hołupca aż pięty zadzwonią, śmiało naprzód, oko w oko tancerce i całemu światu!

Tu już Owczarski zdesperował i wyrzekłszy się tańcu, zaczął panny bawić. Co to tam była dla nich za zabawa, osądzić mogłem gdy podsłuchałem rozmowy z jedną z naszych krakowianek.

—Powiadam pani że nie ma jak Włochy! Bo to wystaw pani sobie tam takie pomarańcze tanie......

Nasza krakowianka choć nie wojażowała, ale była sobie nie w ciemię bita, i lękając się zapewne aby jej Owczarski nie zaczął wyliczać cen targowych włoskich, spytała:

— Czy byłeś pan w Rzymie?

— A jakże byłem u papieża i u kardynałów parę razy na partyi. O bo też nasz papież to bardzo człowiek przyjemny, a najpierwszy kardynał tak mnie polubił, że mi dał drzewo krzyża świętego na pamiątkę, i prosił mnie jak drugi raz w Rzymie będę, abym do niego prosto zajechał.

— A w Wenecyi pan byłeś?

— Byłem, ale przyznam się panu, że mi się wcale nie podoba.

— Jakto, a kościół Ś. Marka. A owe gondole przy blasku, księżyca a karnawał? Co za cudne muszą być widoki!

— Kościoł ś. Marka to poprostu nasz kościoł ś. Jura we Lwowie, nic w nim innego nie widzę. Gondolę to każden może mieć u siebie na stawie, ale co najmilsze to karnawał, bo to widzi pani te maski snują się po ulicach, a jakie zabawne. Jabym był się bardzo dobrze bawił, ale miałem wypadek. Tu westchnął okropnie.

— A jakiż to jeśli można spytać?

— Oto widzi pani te włoszki są bardzo romansowe, szczególną mają słabość do polaków, jak którego złapią co przystojny, dobrego imienia i bogaty, to już się od niego nie odczepią. Otoż słowo daję że jak się pokazałem na placu św. Marka, tak moje włoszki zaczęły krzyczeć: *uno polacco, uno bello polacco*. Nie wiedziałem gdzie się mam zwrócić, bo to uważa pani wszystkie w maskach były; patrzę, upatruję czy z pod szlarki krepowej nie będę mógł coś zobaczyć. Ale cóż? słowo daję wszystkie oczy czarne jak węgiel. Wtem jedna z masek trąciła mnie wachlarzem po nosie i piskliwym głosem zawołała: *o caro*. Słowo daję, nie wiedziałem co to znaczy, bo wtedy jeszcze po włosku nie umiałem, a mając wyżła który nazywał się Caro, myślałem że maska chce mię insultować. Ale kiedy myślę co tu z nią robić, maska włożyła mi bilecik do ręki i szybko się oddaliła. W bileciku tym maska zapraszała mnie na jutro do siebie do jakiś willi. Otoż słowo daję, kiedy nazajutrz wybierałem się na to rendezvous, odebrałem rozkaz wyjechania natychmiast z Wenecyi, bo maska, wystaw sobie pani, ta maska była ni mniej ni więcej, tylko sama — pani Dożowa.

Byłbym wybuchnął śmiechem szalonym, gdyby muzyka nie była zagrała polonesa, tego tańcu narodowego, który nawet Napoleonowi Pierwszemu się tak podobał, a który dziś zapomniany, chyba tylko we Lwowie, na balach uroczystych zobaczyć można. Dawniej każdy bal na wsi rozpoczynano polonesem, dziś jak się namnożyło polek trotrów, tramblantów, polka mazurka, itp. nasz poważny taniec poszedł gdzieś jak stara miotła pod ławę.

P. Narcyz, nie przesiąkły jeszcze nową modą, po starym obyczaju chciał uszanować matrony polakiem. Stanął z p. Rejentową w pierwszej parze, i para za parą snuły się wieńcem po sali, dalej odbijanego, dalej nieskończonego, krzyczał gospodarz i kiedy przez odbijanie doszedł do pary ostatniej, wtedy muzyka grać przestała, aż on znowu z inną tancerką stanął na czele. Taką koleją przeszedł wszystkie poważne damy, aż nakoniec na znak p. Katarzyny, w polonesie przeprowadził całe towarzystwo do sali jadalnej.

Wieczerza nie była wykwintna, nie było tam ani bażantów, ani pasztetów strażburskich, ani blanmangów, co to zwykle się nie udają, nie było modnych tortów, na których często zęba trzeba łamać, ale do wieczerzy stół był zastawiony obficie, a co największa, że wszystko co było było smaczne i dobrze zrobione. Kotlety, pieczenie sarnie, indyki, kapłony, sałaty, kompoty, a na deser galarety z rozlicznemi rodzajami ciast cukrowych, mogły pewnie każdego nasycić; a przytem wino doskonałe, węgierskie wprawdzie, nie dzisiejsze feslauer albo szampan z pod Miszkolca. Było sobie zieleniak co się zowie, co to i zdrowiu i kieszeni nieuszkodzi. Zdrowia często krążyły. Dam zdrowie, obywatelskie, stanu niewinnego itp. zaczęły ten drugi szereg toastów, aż nakoniec znowu muzyka zagrała polskiego, i gospodarz wziąwszy już jedną damę do tańcu, tym samym ordynkiem, co pierwej, szedł do sali tańców. Młodzież stanęła z nowemi siłami i ochotą do mazura, a starsi wrócili do sali jadalnej, bo tam z Bachusem na piękne rozmówić się chcieli.

Ciekawy byłem tych różnych libacyj i dla tego nie tańczyłem, ale przypatrywałem się poczciwej szlachcie pijącej, a piosnki które śpiewali dla pamięci tu spisuję.

Rej tych toastów prowadzili p. Cześnik i p. Odrowąż. Oba już po sześćdziesiąt kilka lat licząc, nie stracili ani trochę żywości i zdrowia, któremby się niejeden dzisiejszy lew w lakierach nie pochwalił. Oba lubieni w całym sąsiedztwie, weseli zawsze, duszą byli każdego zebrania męskiego. Jużto prawdę powiedziawszy, do kobiet nie mieli oni tyle szczęścia, bo one się ich bały okropnie, bo lubo grzeczni, jednak gdy czasem pałkę nalali, to i paniom swoją rubasznością sadła za skorę zalali jeszcze. P. cześnik jak p. cześnik otarł się jakoś w stolicy, ale p. Odrowąż, to to domator, co jak wyszedł z konwiktu od Pijarów we Lwowie, tak jeszcze nigdzie nie był. Gospodarstwo, hulanki w okolicy, gdzie się urodził, zajmowały go całego, a choć był wdowcem i miał dwie córki dorodne, to jakoś nie mógł się ułożyć do kobiecego towarzystwa. Znały go też kobiety doskonale. Odrowąż lubił namiętnie krakowiaka, a kiedy miarkę czasem przebrał, nuż dalej w pierwszą parę. Biedne córki musiały z nim tańczyć, a on wycinał hołubca i przytem śpiewał różne, najczęściej nie bardzo niewinne krakowiaki, szepcząc córce do ucha. «Wacpanna tego nie rozumiesz zapewne!» Biedna córka czy rozumiała czy nie rozumiała, musiała udawać że nie rozumie, a ojciec się cieszył że takie ma córki niewinne!

Dziś oba z panem Cześnikiem, proszeni przez gospodarza, ułożyli sobie wszystkich popoić. Nie było im to tak trudnem, bo oba mieli głowy doskonałe i nikt im w piciu nie sprostał. Zaczęli od zdrowia gospodarza. P. cześnik śpiewał do pełnego kielicha:

Od Wacana do Wacana,
Pijmy zdrowie aż do rana,
Pijmy z kielicha pełnego,
Wszak gospodarz warta tego.

A kiedy kielich już był wypróżnionym, wtędy pan Odrowąż spiewał:

Wypił, wypił, nic nie zostawił,
Bodajże go, bodajże go pan Bóg błogosławił!

Te zwrotki powtarzano przy każdym pijącym a kiedy cała kolej obeszła, p. Cześnik poszedł i przyprowadził pod rękę p. Katarzynę. Odrowąż zdjął jej trzewik i uklęknąwszy nalał w niego wina i zaintonował:

Póki komar z muchą morza nie wypije,
Niech nam nasza pani póty zdrowa żyje;
Oj ty komarze, pij wodę powoli,
Niech nam się pani nażyje do woli!

A kiedy wychylił, choć mu dużo wina po brodzie pociekło, pan Cześnik zaśpiewał:

Wypił, wypił co do kropelki,
Niech żyje, niech żyje przyjaciel wielki...

Trzewik tymczasem tak winem nasięknął, że już dalsi wielbiciele panny Katarzyny tylko kieliszek w trzewik wstawiali i z kieliszka pili, co dosyć nam dogodziło, bo pić z zapoconego trzewika nie wiele było roskoszy.

Takim trybem szły dalsze kielichy, a do każdego była jakaś piosnka. Spamiętać ich nie mogę, bo to wiele lat już i cierpień od tego czasu minęło, przypominam sobie tylko, że pan Cześnik z przemową wystąpił, że to już ostatnia kolej i zaśpiewał:

Antałek nie studnia, a wino nie woda,
Jedźmyż z panem bogiem, gospodarza szkoda.

Gospodarz wystąpił z najmocniejszą protestacją, oświadczając, że kto przed śniadaniem wyjedzie, ten chyba go nie kocha. Na takie *dictum* oczywiście wszyscy zostali, oprócz hrabiego i Owczarskiego.

Krakowiacy i krakowianki, choć z żalem w sercu, poubierali się w suknie zwyczajne, a tym czasem nakryto do śniadania.

Przed śniadaniem doskonała anyżówka orzeźwiła wszystkich, a barszcz z rurą, bigos hultajski, kiełbasa na kwaśno i zrazy dodały sił nowych, i znowu jak zaczęto przytaczać przysłowie: «Po kiełbasie napijwa się» tak jakoś się piło. Młodzież dobywała ostatnich sił w drabancie, a starzy pili na nowo, i na nikim nie znać było upicia. Znać że wino zdrowe było, o *Feslauerze* albo szampanie nikt wtedy nie myślał, a znajoma piosnka «Węgier Polak dwa bratanki» przynajmniej tem się sprawdzała, że po winie węgierskim szlachta i zdrowa i wesoła była.

Wreszcie pani Rafałowa zabrała się do wyjazdu, gospodarz wsadził ją do powozu, ale pan Odrowąż nie dał zamknąć drzwiczek i z kielichem wielkim zawoławszy: «Odrowąż naprzód», zaspiewał:

A kiedy już odjeżdżacie,
I nas samych zostawiacie,
Pamiętajcie żeście nasi,
A my przyjaciele wasi.

— Do ciebie Odrowążu! I Odrowąże pili po kolei a było ich siedmiu. Po każdem spełnieniu kielicha p. Cześnik i stary Odrowąż spiewał:

O jak gładko wypił, ani się zakstusił,
Niech mu Bóg da zdrowie, wszak go nikt nie musił!

Szczęściem że nie było zimna, bo wyszło z godzinę, nim kolej nas wszystkich obeszła. Nakoniec przecie pani Rafałowa ruszyła, a i my w ślad za nią. Dowiedziałem się poźniej, że pani Rafałowa nie darmo starościną była, bo p. Narcyz się z jedną z jej córek ożenił, a my także nie darmo byliśmy na kuligu, bo oprócz zabawy ponieśliśmy do domu pamięć przyjęcia gościnnego, prawdziwie staropolskiego i choć to dużo lat minęło, przecież wspomnienie tego kuligu tkwi mi dotąd w pamięci, a widząc dzisiejsze niby to zabawy, często pomyślę sobie: Oj nie tak, nie tak to dawniej bywało!

Dezydery Ruralis.

Pisarze dzisiejsi.

I.

Władysław Syrokomla.

Ciąg dalszy

Pierwszą znakomitszą pracą Syrokomli są: „*Dzieje literatury w Polsce*“. Jest to książka więcej podręczna, dla chcącego się nauczyć historji literatury ojczystej, na jakiej dotąd nam zbywało. Wiszniewski nie napisał «historji» ale z wielkim trudem i nadzwyczajną erudycją pozbierał do niej materjały, i nawet nie dokończył, bo go zaskoczyła choroba, a w końcu i śmierć. Historja Wojcickiego powinna się raczej zwać «wypisami» bo prócz tych, nie ma w niej ani układu ani poglądu historycznego. Przytoczenie bowiem tu i ówdzie oderwanych zdań recenzentów, nie stanowi jeszcze historji. Wojcicki w tem także główny błąd popełnił, że z literatury ojczystej wyrzucił pisarzy polsko-łacińskich, jako do niej nie należących. Odebrał tym sposobem główną podstawę naszemu piśmiennictwu, a może nawet jeden z najpotężniejszych jego filarów. Pisarze bowiem nasi, piszący po łacinie, są wskróś polakami, a może nawet więcej po polsku czuli i myśleli niżeli dzisiejsi pisarze. Są to wielkie, sarmackie postacie, przystrojone w rzymską togę. Jest tam serce polskie i dusza polska, tylko szata obca, a może mniej obca, niżeli dzisiejsza. Duch umarłego Rzymu odżył na północy, w ziemi sarmackiej w całej swojej świetności; ścięty pień na południu wypuścił tam nową latorośl, ale soków pożywczych dostarczyła mu ziemia, na której ta młoda latorośl wyrosła. To też wedle tych soków sądzić należy o drzewinie, a soki te były polskie.

Główną więc zasługą Syrokomli pozostanie, że w swoich *Dziejach literatury w Polsce,* podniósł i uwydatnił pisarzy polsko-łacińskich, których zupełnie pominęli Wojcicki, L.... Ł... i E. D... (Piśmiennictwo polskie w zarysie).

W *Dziejach literatury w Polsce* korzystał wprawdzie autor z nagromadzonych do tego materjałów, ale przyznać należy, że nie tylko umiał je po mistrzowsku obrobić i w całość związać, ale rzucił nawet tu i owdzie kilka wcale nowych pomysłów, podnosząc niektóre epoki i postacie, dotąd zaniedbane lub niewłaściwie pojęte. Mianowicie w literaturze ludowej, tak pompatycznie przez Wiszniewskiego

do historji literatury wprowadzonej, jakoby ona miała być alfą i omegą całej naszej przyszłej oświaty, pisze z większem umiarkowaniem, nie odmawiając jej przytem czci i znaczenia. Natomiast podniósł klasycznych naszych polsko-łacińskich pisarzy, na których łacinę dotąd z politowaniem patrzono, i aby nas ze skarbami tej naszej polsko-łacińskiej poezji zapoznać, przełożył najcelniejszych z nich na język ojczysty.

«*Przekłady poetów polsko-łacińskich*» są drugą jego znamienitszą pracą, o której z kolei mówić będziemy. Trzymamy się tego porządku, bo okażemy później, jak wiele Syrokomla skorzystał tak co do języka jak i całego toku snowania obrazów, wczytawszy się w dzieła tych poetów. We wszystkich jego następnych, samodzielnych poetycznych utworach, przebija ta sama jędrność i polskość wyrażenia się, jaka cechuje utwory Sarbiewskiego i Smoguleckiego, to samo serdeczne, tęskne, rzewne uczucie, które wieje przez wszystkie utwory Janickiego i Kochanowskiego.

Już na samym autorze «*Margiera*» «*Dęboroga*» *Chatki w lesie!* i t. d. widzimy, czemby nasza polsko-łacińska literatura mogła być dla nas, gdyśmy z nią lepiej się zapoznali. Zaprawilibyśmy się na niej lepiej do polszczyzny, niżeli na pisarzach polskich naszej epoki. Wszystko to, co nas w języku i sposobie obrazowania u Syrokomli uderza i ujmuje, jest owocem studjów tych polsko-łacińskich pisarzy. Język bowiem polski kształcił się na łacinie, a przeto przyjął w siebie i jej pierwiastek. Kształcący się na tych pisarzach, Syrokomla kształcił się więc u samego źródła, a nie w tych mętnych, nieswojskich krynicach, z jakich my dzisiaj nasze wykształcenie czerpać musimy. W naszym dzisiejszym, codziennym języku przebija prawie co słowo wpływ francuzkiej lub niemieckiej literatury, a chociaż oba te wpływy duchowi naszej mowy wprost się sprzeciwiają, przyzwyczajamy się powoli do nich, jak dzieci do roztrojonego klawikortu.

To też zaraz na pierwszych kartach Syrokomli udarza nas niezwykła jędrność języka, i szczególne jego zwroty, które dzisiaj tylko przeczuciem odgadujemy, że są czysto polskie; zachwyca nas polski i prawdziwie rzymski sposób obrazowania. Nasłuchawszy się bojowego szczęku orężów, grzmiących tonów tryumfu z odniesionych zwycięztw, zdziwimy się nie mało, słysząc ten sam bojowy rycerski język, w pieniach religijnych tak lekki i melodyjny, jak dźwięki arfy eolskiej. Trudno uwierzyć, że te same żelazne struny pod wprawną ręką lutnisty mogą mieć tyle eteru, tyle przezroczy! Najdelikatniejsze uczucia mają tam odpowiednie swoje barwy i cechy, eteryczny dźwięk jak szelest skrzydeł motylich.

W takiej to wypróbowanej szkole kształcił się nasz poeta, tam zbierał skarby, jakiemi dzisiaj nas raczy.

Nie zaprzeczamy bynajmniej, że polsko-łacińska literatura nasza składa się po części z tyrad pochwalnych, pisanych na cześć królów lub innych dygnitarzy państwa. Mając jednak wiek i ludzi owego wieku na względzie, przypatrzywszy się bliżej ich postaciom, nie będziemy się wcale dziwić, że mogły ówczesnych pisarzów natchnąć do ód, ich czyny wychwalających. Poeci owego czasu chwalili, bo było co chwalić, bo warci tego byli i Zygmunt i Batory i ci wszyscy, co bliżej tych królów otaczali. Zresztą pochwały owe tyczyły się osób pojedyńczych, znakomitego stanowiska, wysokich urzędów i zdolności, i szczerych dla dobra powszechnego chęci. Wychwalanie takie, mogło ich popchnąć do większych ofiar i poświęceń, a dzieje nasze przekonują nas, że tak było w istocie. I tak chwali n. p. Klemens Janicki poeta tego czasu, Krzyckiego, biskupa gniezn., chwali i Piotra Kmitę; ależ bo ten Krzycki podał poecie rękę pomocną wtedy, gdy będąc ubogim miał już ze szkół wracać do biednej, wieśniaczej zagrody, aby zamiast pióra wziąć sochę do ręki. Piotr Kmita wysyła go własnym kosztem do Padwy, miejsca, dokąd wtedy młódź europejska biegła po światło.

«Gdyby żył w naszych czasach, pisze o nim Syrokomla, (niech to współczesnych nie obraża) pewno zapoznany zmarniałby nasz poeta, rzuciłby może nieogrzane spółczuciem pióro, ale w troskliwym o narodową chwałę wieku XVI, w świetne czasy Zygmunta starego, znalazł rękę co go wydźwignęła na widownię i nie dała zmarnieć młodzieńczym talentom.»

Czyż wdzięczne poety serce nie mogło wynurzyć swoich uczuć tak szlachetnym mężom, czy w czasach Zygmunta lub Batorego niebyło cnót obywatelskich, godnych pióra poetów? Zaiste panegiryzm owego czasu nieusypiał narodu do gnusności, ale owszem był podnietą do pojedyńczych ofiar i poświęceń, a mając najczęściej za podstawę uczucie patryotyczne, czem się ono w ówczas wyrażało, więcej skierowany był ku podniesieniu narodu, niżeli dzisiejsza, bez względna apoteoza przeszłości lub schlebianie opinii pojedyńczych obozów, które z pisarza-kaznodzieja czynią pospolitego, najętego gladjatora. Każdy wiek ma swoje cnoty i wady, i my je mamy, a któż się ośmieli pierwszy kamieniem na nas rzucić?.... Przejdźmy celniejszych pisarzy naszej literatury, jaki jest ogólny charakter ich dążeń? Czyż oderwali oni się kiedy myślą od narodu, od kraju, czyż popadli kiedy w krainę czystej abstrakcyi, w którejby naród swój z oczu stracić mogli, jak się to pisarzom innych narodów wydarzyło? Nasi pisarze widzieli tylko kraj i naród przed sobą, dla niego pracowali i pisali. Wszystko naginali do tego wielkiego, wspólnego uczucia, nie tylko poezją, obcym językiem wyśpiewaną, ale ale nawet i wyobrażenia religijne stroją w godło narodowe. To też niemieliśmy systematów filozoficznych ani sekt religijnych w prawdziwem znaczeniu tego słowa, ale mieliśmy konfederacje, których ostatecznym celem była mniej więcej dobrze pojęta korzyść kraju. Ktokolwiek głos swój w kraju podniósł, zawsze opierał się na uczuciu patryotycznem, chwaląc lub ganiąc kochał naród.

Piszący po łacinie Sarbiewski, satyryczny Rej, karcący występki Klonowicz, i walczący przeciw herytykom Skarga, są to pisarze narodowi, kapłani dźwigający naród do wyższej ducha jego potęgi. W ten sposób musimy pojmować pisarzy naszych i oceniać ich zasługi. A zasługom ich nie uwłacza bynajmniej, jeźli idąc za wyobrażeniem swego czasu, obcym językiem do narodu przemawiali. Nie mniej są oni przeto narodowi i polscy, jak ich następcy, pod rzymską togą biją serca i uczucia polskie. Niestosownością więc byłoby wykluczyć ich z literatury narodowej, a

jedyną trudność, która dotąd była na przeszkodzić że szersze koło czytających nie mogło się z nimi zaznajomić, usunał Syrokomla, przełożywszy ich wybornie na język ojczysty. Tym sposobem zrehabilitował nam pisarzy, o których już zapominaliśmy, odsłonił nam ich skarby nieprzebrane, z których szersze koło publiczności korzystać może.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Torf.** Wiek XIX tak jest obfity we wszelkiego rodzaju pomysły i wynalazki, że nie dziwimy się bynajmniej słysząc o jakich nadzwyczajnych odkryciach, jak gdyby to były rzeczy małej wagi lub zupełnie pospolite. W ogóle zauważać można, że szczególna obojętność na wszystko co nowe, nieznane, a nadzwyczajne, napadła większość, a zaledwie gdzieniegdzie tylko dadzą się natrafić pojedyńcze indiwidua, ciekawie słuchające, jak o baśniach, o onych machinach angielskich, parowych pługach, nowym wynalazku p. Le Docte, lub o innych dziwotworach, których nie widząc, prawie jest niepodobieństwem w imaginacyi sobie wystawić. Obojętność ta i że tak powiem niewiara, opanowała i nas w bardzo znacznej części, a nawet można powiedzieć, że nie ma kraju w którymby się tak trudno wszelkie nowe wynalazki przyswajały, jak nasz. Przyczyny tego dojść trudno, jakkolwiek nie bez znaczenia tu są: brak kapitałów, oglądanie się na praojców i często bardzo, niestety, brak wiadomości naukowych. Dla czego w naszym kraju tak powoli doskonalą się narzędzia rolnicze, dla czego wszelkie wyroby są tak drogie i nie mogą wytrzymać konkurencyi z zagranicznemi, dla czego najkorzystniejsze przedsiębierstwa, bądź to na akcje, bądź jakiekolwiek inne, nie mają zwolenników, jak tylko przyjdzie wyłożyć gotowy grosz, choćby on się w lat kilka i w dwójnasób miał wrócić? Odpowiedź na to niech każdy sam utworzy, bo niezawodnie ile ludzi, tyle zdań odmiennych. Może kto odpowie: narzędzi owych rolniczych nie można od razu zaprowadzać, bo cóżby na to powiedzieli chłopi: niechcieliby i nie umieli robić. Tym czasem zdanie to jest fałszywe: znam gospodarstwo, gdzie w jednym roku wyrzucono przedpotowe pługi i płużyce i zastąpiono je pługami Dombasl'a. Krzywił się chłop z początku, udawał, że niepotrafi robić, ale widząc, że to nie poradzi, kieruje tak doskonale Dombasl'em, jak gdyby ukończył kursa w szkole Grignon. Tak w istocie, nie ma niepodobieństwa do wprowadzania rozsądnego nowości, tylko trzeba trochę śmiałości, znajomości rzeczy i pewnego stopnia ryzykowania. Wszakże Francuz zawsze powtarza: kto nie ryzykuje, nie ma nic.— Ale za nadto odbiegliśmy od materyi: mieliśmy mówić o torfie, o pożytkach z niego i ostatecznie o nowem, a nader ważnem odkryciu, materyału tego dotyczącem.

Najprostsza postać, w jakiej torfu na opał się używa, znaną jest dobrze każdemu, zbytecznemby więc było opisywać i rozszerzać się nad jego przygotowaniem i użyciem. Bez porównania ważniejszem jest zamienienie torfu na węgiel opałowy, za pomocą tlenia w stosownie urządzonych stosach. Zyskuje on tym sposobem wiele na swojej palności, przybiera nadzwyczaj małą objętość i z tego to powodu przewożenie jego z miejsca na miejsce nadzwyczaj jest ułatwione. Dalej, nowo wynalezione sposoby nadzwyczaj silnego prasowania torfu przyniosły ogółowi konsumentów niepomierną usługę: raz dla tego, że podobnem postępowaniem objętość jego da się w sposób znakomity zmniejszyć; drugi raz, że przez to nabywa tak szacownych przymiotów, iż śmiało z najlepszym węglem kamiennym z Newcastle konkurencją wytrzymać może. Niech sobie kto nie wyobraża, że prassy do tego celu w Anglii używane, są o mizernem jakiem ciśnieniu; przeciwnie, torf prassowany, zwany peat coal (t. j. węgiel torfowy), wytrzymuje ciśnienie 40,000 centnarów, które na stosownie urządzonym apparacie 30 razy na minutę powtórzyć można. To też wyprassowany torf ma nadzwyczaj wysoką wartość, wydaje bardzo mało dymu i popiołu, wywiązuje zaledwie nieznaczącą ilość gazów i pozostawia po spaleniu bardzo wiele koksu. Popiołu torfowego używają zwykle w Anglii do oczyszczenia kloak i utrzymują tym sposobem bardzo korzystny i silnie działający nawóz.

Wszystkie powyższe pożytki z torfu, mianowicie też najnowsze wyżej wzmiankowane sposoby przyrządzania zeń bardzo dobrego i wysoką mającego wartość materjału opałowego, postawiły go w ostatnich latach w rzędzie z najdroższemi i najnieodzowniejszemi produktami, podnosząc tym sposobem niesłychanie wartość miejsc w niego obfitujących, a dotąd zwykle jako nieużytki na mappach figurujących. Jednakże nie na tem koniec: przed niedawnemi czasy, znakomity uczony, chemik Reichenbach, zrobił odkrycie, czyli prościej mówiąc otrzymał z torfu produkt, nadający mu o wiele wyższą wartość i znaczenie, niż to, jakiego dotąd, nawet po zastosowaniu angielskich wynalazków, używał. Przy zetleniu torfu czyli zamienieniu go na koks, oddzielają się w znacznej dosyć ilości właściwe materje, znane pod ogólnem nazwiskiem związków Phenulowych, w szczególności zaś: Kreozot, Kupion, Paraffin, Pittakal, Picamar, Kapuomor i t d. główną ich istotę stanowi węglowodor (węglik wodorodny). Z tych to materyj na bliższą uwagę zasługują: Krezot i Paraffin. Pierwszy z nich (którego nazwisko pochodzi z greckiego: kreas—mięso i sozo,—utrzymuję), ma obrzerne bardzo zastosowanie przy wędzeniu mięsa, albowiem posmarowawszy je roztworem tej materyj, nabiera takich własności, jak gdyby w dymie wędzonem było (wiadomo, że dym zawiera w sobie niewielką ilośc azotu.) Otrzymać go można ze smoły torfowej (jakoteż i z każdej innej) za pomocą najprostszej destyllacyi.

(D. n.)

* O parę stacji od Berlina, wsiadł do dyliżansu młody jakiś jegomość z orderową wstążeczką u fraka, i zajał jedyne pozostałe miejsce na przedzie. Po niejakim czasie, powiodłszy raz i drugi badawczem okiem po towarzyszach podróży, i upatrując znać coś szczególniej potulnego w siedzącym na przeciw siebie nie młodym już człowieku, rzekł do niego: „Jestem von * Landrath tutejszego obwodu. Przyznam się panu, że nie przywykłem nigdy siedzieć na przedzie karety. Proponowałbym mu zatem zamianę miejsca, a w potrzebnym razie możesz pan być pewnym, że potrafię to sobie przypomnieć". W rzeczy samej, wezwany z największą powolnością ustąpił swojego miejsca. W ciągu drogi Landrath był bardzo wesół, rozmowny, dotykał wielu rzeczy uczonych, i jakby dla wynagrodzenia staruszka, obracał się do niego najczęściej, i objaśniał mu w najpopularniejszy sposób różne pytania naukowe. Gdy nakoniec dyliżans zatrzymał się w miasteczku * gdzie Landrath oświadczył, że pozostanie, staruszek rzekł doń z ukłonem:

— Chciejże mię pan zachować w swojej łasce i pamięci!

— Proszę mi tylko powiedzieć swoje nazwisko! rzekł Landrath biorąc się do pugilaresu.

— „Alexander Humboldt".

Nowiny lwowskie.

* Dnia 1 Maja r. b. towarzystwo muzyczne otwiera w pomieszkaniu swojem pod Nrem 122 na ulicy wyższej ormiańskiej kurs nauki spiewu i skrzypców. Co do nauki spiewu towarzystwo przyjmuje dziewczęta najmniej lat 10, a chłopców 9 mających. Nauką dziewcząt zajmie się panna Julija Ambros, chłopców zaś pan Wojciech Szmaciarzyński. Liczba uczennic ograniczona na 16; uczniów zaś: 8 chłopców, a 8 starszych młodzieńców. Co do nauki skrzypców, wiek uczniów jeżeli nie mają nauk przygotowawczych, ma być od 10 do 15 lat.

Liczba uczniów ogranicza się na 16. Nauką skrzypców zająć się ma p. Edward Pleiner. Opłata wynosi miesięcznie 1 Zr. 30 gr. z góry; zupełnie ubogim uczniom opłata ta może być darowana, po poprzedniem wypróbowaniu zdolności. Przy przyjmowaniu ci z uczniów będą uwzględnieni, którzy mają już poprzednie ukształcenie muzykalne. Chcący mieć uczestnictwo w nauce tej, mogą się aż do 26 kwietnia zgłaszać codzień w kancelaryi towarzystwa od 4 do 6 po południu.

Sprostowanie.

W artykule pod napisem: *Odwiedziny u Mickiewicza*, umieszczonym w Nrach 43 »Nowin« opuszczony został następujący ustęp: „Na zakończenie mojej rozmowy z M., spytałem go, czy swoje własne dzieła odczytuje?—" „Nie chętnie do rąk je biorę" odpowiedział, utwor bowiem poety, po wykonaniu, nie odpowiada ideałowi w pojęciu, i sprawia uczucie niezadowolenia."

Zamiast: Mićkiewicz, powinno się pisać Mickiewicz.

Przyjechali od dnia 11. do 14. Kwietnia do Lwowa.

PP. Serda Jan z Doliny. Szczepański Franc. i Dylewski Maryan z Stanisławowa. Ginilewicz Grzeg. i Wiktor Wład. z Przemyśla. Łoziński Franc. z Jaśnisk. Grochowski Antoni z Budynia. Turczyński Jan z Żółkwi. Rzewuski Konst. z Gołogór. Gostyński Stan. z Hnizdyczowa. Szymanowski Franc. z Spassowa. Krzyształowicz Jan z Zabowa. Ochocki Józ. z Krakowa. Spodarewicz Ign. z Przemyśla. Majkowski Abdon z Złoczowa.

PP. Wasilewski Piotr z Uhrynowa. Kozłowski Ant. z Krotoszyna. Krzysztofowicze Ant. i Franc. z Trybuchowiec. Witosławski Antoni z Koropca. Łopuszański Bol. z Czyszek. Hr. Dzieduszycki Jan z Siechowa. Zarzycki Tyt. z Chotylób. Jarzemowski Wojc. z Wolicy. Biliński Ant. z Huty. Kaczkowski Ign. z Bereźnicy. Felsztyńscy Lud. i St. z Boronczyna. Thulie Sta. i Abancourt Xaw. z Łowczy. Wybranowski Alex. z Szołomyi.

PP. Krajewski Nik. z Turzego. Zubr Fel. z Żołtaniec. Hr. Borkowski Sew. z Szuparki. Torosiewicz Kaj. z Sopowa. Kielanowski Tyt. z Kozłowa. Trzecieski Tytus z Bełzca. Krzyżanowski Jan z Kamionki. Nowakowski Mich. z Przyłbic. Hr. Borkowski Bol. z Przemyśla. Tretter Konst. z Krakowa. Gumowski Wikt. z Berezanki. Czerkaski Mich. z Hulkowa. Nahujowski Ant. z Czernicy.

Wyjechali od dnia 10 do 14 Kwietnia ze Lwowa.

PP. Stefan Torosiewicz do Brzeżan. Antoni Romaszkan do Podhajec. Stanisław Dobrzański do Daszawy. Józef Zawadzki do Stryja. Aloizy Bocheński do Ottynowic. Erazm Lencewicz do Zadworza. Alexander Swierzawski do Szczepiatyna. Eugen Strzelecki do Wyrowa. Fran. Łoziński do Jaśnisk. Hr. Mier do Dembicy. Jan Brzezowski do Roszniowa. Władysław Komarnicki do Jackowic. Jan Wiktor do Zarszyna. Teofil Ostaszewski do Wzdowa. Teodor hr. Karnicki do Michałowic. Alexander Szymański do Rzeszowa.

PP. Narcyzy Dziokowski do Derewacza. Jan Trochański do Czyżyc. Alexander Kmietkiewicz do Magierowa. Marcelli Ciszewski do Woronowa. Anton Sarnowski do Ławrykowa. Bojmir Starżyński do Derewni. Stanisław hr. Lanckoroński. Felix Rojowski do Cieszanowa. Ignacy Uniszowski do Hnizdyczowa. Leon Rzewuski do Podhorzec. Eustachiusz Drohojewski do Łukawca. Józef Jasiński do Stanisławowa. Włodzimierz hr Łoś do Dołżanki. Józef hr. Starzeński do Mogielnicy.

PP. Felic. Zubr do Żółtaniec. Antoni Grochowski. Jan Osmolski do Budynina. Zofia hr. Gołuchowska do Tarnopola. Józef Mysłowski do Zwiniacza. Józef Tarnowiecki do Mariampola, Jan Kubicki do Budomierza. Felix hr. Karnicki do Rogużna. Jul. Janiszewski do Łoszowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 14 kwietnia o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	102 1/4	Pożyczka 5%	85 3/4
Hamburg za 100 tal. branco	74 7/8	Akcye banku	1147
Londyn za 1 funt szterl.	10.5	Kolej północna . . .	5090
Medyolan za 300 lirów	102 1/8	Obl. ind.	79
Paryż za 300 franków	119 1/2	Nowa pożyczka z loteryą	—
Agio duk. ces. . . .	5 1/2	Pożyczka narodowa .	86 1/2

Dzisiejszy kurs lwowski.	Gotówką zł.	Gotówką kr.	towarem zł.	towarem kr.
Dukat holenderski	4	45	4	47
Dukat cesarski	4	46	4	49
Półimperyał zł. rosyjski	8	12	8	16
Rubel papierowy	—	—	—	—
Rubel srebrny rossyjski	1	35	1	36
Talar pruski	1	29	1	31
Polski kurant i pięciozłotówka	1	8	1	9
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	83	—	84	—
Galicyjskie obligacye indemizacyjne bez kuponu	78	—	78	30
5 proc. pożyczka narodowa	86	—	87	—
Śrebro	103	—	104	—

Lwów, 11. Kwietnia. Na dzisiejszem targu płacono:	po złr.	po kr.	do złr.	do kr.
Korzec pszenicy ozimej	9	18	13	36
« Żyta	8	—	9	36
« Jęczmienia	7	36	7	40
« Owsa	4	24	4	36
« Grochu	10	12	12	48
« Hreczki	6	48	7	24
« Ziemniaków	4	24	5	—
Sąg drzewa bukowego	13	—	13	20
« Sosnowego	11	20	11	36
Cetnar siana	1	48	1	50
« słomy	1	42	1	45
Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty	—	—	—	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: H. W. KALLENBACH. Z drukarni Zakł. nar. Ossolińskich, dzierżawca W. MANIECKI.